NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: a conto prenumeraty za styczeń 2 000 000 Mkp. dopłata po 15-tym — Zagranicą podwójnie.

CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy Mk. 30.000 — cała kol. Mk. 50,000 000 — pół kol. Mk. 25.000,000 — 1/4 kol. Mk. 14.500.000 — 1/8 kol. Mk. 8.000.000 — 1/16 kol. 4.500 000 — W częsci redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 75.000 — cała kol. Mk. 65.000,000 — 1/2 kol. Mk. 33.000.000 — 1/4 kol. Mk. 18.000.000 — 1/8 kol Mk. 11.000.000 — 1/16 kol Mk. 7.000.000. — Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 10ـ.000 za centm. Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Wszelkie projekta art. wykonują na żądanie i rachunek firmy Studenci Akad. Sztuk Piękn.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

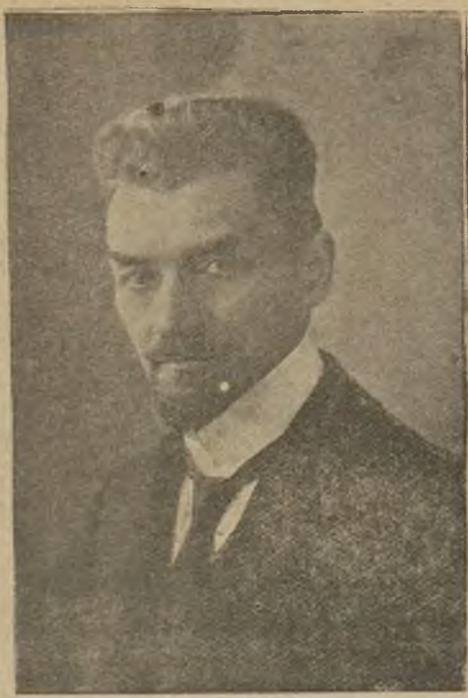
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 500.000 Marek**

Rok XXI. Kraków, 12 stycznia 1924. Nr. 2.

Kraków w śniegu



Planty krakowskie w okolicy pomnika Lilli Wenedy toną w śniegu. Żywopłot pod śniegiem się ugina.



Prof. Uniw. Jagiellońskiego Dr. Adam Krzyżanowski, znakomity ekonomista, przedstawiciel t. zw. Krakowskiej szkoły ekonomicznej.

Nasza sytuacja finansowa.

Wywiad specjalny współpracownika „Nowości Illustrowanych“ z *dr. Adamem Krzyżanowskim*, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dla uzyskania miarodajnych informacji o naszej obecnej sytuacji finansowej oraz prognostykach na najbliższą przyszłość udałem się do prof. dr. Adama Krzyżanowskiego, który z wielką uprzejmością udzielił mi wywiadu.

— Rok obecny — mówił prof. dr. Adam Krzyżanowski — nie wątpię, iż będzie punktem zwrotnym w naszej gospodarce finansowej. Społeczeństwu otworzą się oczy i zrozumie, iż dotychczasowym sposobem inflacji, czyli ciągłego druku marek polskich dalej żyć nie można. Oczywista — przełom będzie bardzo bolesny, bez niego jednakowoż nie podobna sobie wyobrazić poprawy. Ów okres przełomu zaznaczy się dużym wzrostem drożyzny oraz ograniczeniem produkcji i konsumcji ponieważ ceny przekroczą parytet światowy.

— Czy sprawa banku emisyjnego jest obecnie aktualną?

— Co do banku emisyjnego — odpowiada p. profesor — to zgadzam się z opinją w rządzie dominującą, iż należy go stworzyć dopiero po zrównoważeniu budżetu i stworzeniu funduszu sanacyjnego. Ekonomicznie najkorzystniej przedstawiałaby się sprawa w razie zebrania części funduszu sanacyjnego przez zaciągnięcie pożyczki zagranicznej, o ile by zaś dopływ kapitału drogą pożyczki był nie do urzeczywistnienia należałoby pozyskać kapitał zagraniczny w formie wydzierżawienia ewentualnie sprzedaży kapitalistom majątku państwowego.

Co do pełnomocnictw, prof. A. Krzyżanowski — wyraża opinję, iż praktyczniejszą rzeczą byłoby utworzenie Rady Naprawy Skarbu złożonej częściowo z przedstawicieli sejmu, częściowo zaś z rzeczoznawców spraw finansowych pc za sejmem, by nie ulegała ona wpływom partyjnym i mogła trwale pracować. Nie podziela poglądu, by przekonanie panujące w rządzie, iż poprawy będzie można dokonać tylko drogą ściągnięcia podatków i pożyczką wewnętrzną było słusznem.

— Czy ograniczenie budżetu wojskowego jest koniecznem? — zapytuję.

— Jest to sprawa drażliwa. Mocarstwowe stanowisko państwa zależy nietylko od jego siły zbrojnej, ale także od stanu skarbu. Sądzę, iż bez oszczędności i to oszczędności *drakońskich* na każdem polu czynionych, budżetu naszego nie zrównoważymy — zakończył swe wywody profesor dr. Krzyżanowski. *r. d.*

Sojusz francusko-czeski.

Układ polityczny Europy, pozostający od chwili „wybuchu“ pokoju w stanie płynnym zaczyna się coraz bardziej określać, ustalać a nawet cementować. Największą inicjatywę i konsekwencję wykazuje w tym kierunku Francja. Zdecydowana i energiczna polityka Poincarégo dała jej zwycięstwo zasadnicze w sprawie Ruhry, związki z Belgją są jak najbliższe i najsilniejsze, z Polską istnieje sojusz od r. 1921. Jestto polityka z jasno określonym celem: obezwładnienia Niemiec. Ten najgroźniejszy i marzący o odwecie sąsiad osnuty i otoczony zostaje przez Francję dokoła siecią sojuszów, jakby bastjonami. Sojusz z Czechami jest uzupełnieniem i wykończeniem tej sieci dokoła Niemiec. Za tym sojuszem przyjdą zapewne dwa dalsze: z Jugosławją i Rumunją.

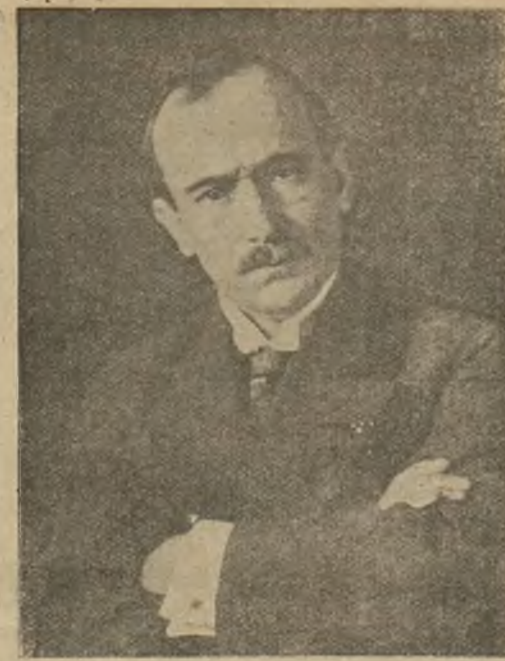
Sojusz czesko-francuski jest objawem tej francuskiej polityki okrążania Niemiec, która jest jednocześnie polityką obrony traktatu wersalskiego. Czy jednak da on oczekiwane wyniki?

Pomoc czeska w razie wywołania przez Niemców zbrojnej awantury — jest niezbyt dla Francji pewną, a pozatem ze względu na niewysoką wartość żołnierza czeskiego — niebardzo skuteczną. Więc nie tyle moment militarny gra rolę w tym sojuszu ile sprawy polityczno-dyplomatyczne. Pod tym względem Czechy, sprawujące do dziś bezwzględną hegemonję wewnątrz małej ententy i pozostające w dobrych stosunkach z sowietami — są dla Francji sojusznikiem, partnerem i pośrednikiem nie do pogardzenia Jak sojusz polsko-francuski jest w pierwszym rzędzie przymierzem wojskowem, — tak traktat francusko-czeski jest przedewszystkiem paktem dyplomatycznym. W jaki sposób oba te sojusze nawzajem się wobec siebie ustosunkują — przyszłość to najbliższa pokaże. Jednego tylko można się spodziewać dla nas w najbliższym czasie: nowych trudności międzynarodowych.



Sojusz francusko-czeski: Premjer francuski Rajmund Poincaré.

Co do tego niema wątpliwości. Praga czeska jest główną w Europie kuźnią propagandy antypolskiej: ukraińskiej, białorusko-sowieckiej i emigracyjno-rosyjskiej, propagandy wymierzonej przeciw traktatowi ryskiemu i naszym granicom wschodnim, których Czechosłowacja do dziś dnia nie uznała oficjalnie. Otóż — jak słusznie pisze „Słowo“ wileńskie, w tej walce naszej o gran ce z Rosją otrzymaliśmy od Francji nietylko gen. Weyganda, ale i p. Chardigny — który chciał nam odebrać Wilno na rzecz dawnej Rosji. Dziś p. pułk. Chardigny się wyolbrzymił i nazywa się: „Sojusz francusko-czeski“.



Sojusz francusko-czeski: Czeski minister spraw zagr. Edward Benesz.

Narada w Belwederze.

Śmiało można powiedzieć, że dziś cała Polska zajęta jest jedną tylko sprawą, a jest nią: sanacja skarbu i wszelkie z nią związane sprawy.

Rząd czy sejm, przemysł czy handel, całe społeczeństwo całą swą wyłączną uwagę zwróciły tylko ku jednemu celowi, którym jest uzdrowienie skarbu Państwa. Musimy silnie wierzyć i mieć zupełną nadzieję, że cel ten zostanie w przeciągu pewnego czasu usunięty, że specjalne pełnomocnictwa którymi w pełnej ufności obdarzyły rząd p. Grabskiego sejm i całe nareszcie społeczeństwo, bez różnicy partji, pozwolą nabrać premjerowi Grabskiemu potrzebnego rozpędu i wolnego powietrza, by módz przez odpowiednie zarządzenia ustabilizować markę i przeprowadzić potem swe dalsze plany.

W tej tak ważnej dla młodej naszej państwowości chwili, kiedy własnemi siłami i nareszcie może — jednością silni — sami chcemy ratować nasz skarb, nie wchodząc na drogę próśb i błagań u wrót Canossy obecnej — Rady Ligi Narydów — zbiera się w Belwederze, z udziałem Prezydenta Rzeczypospolitej jako Najwyższego Zwierzchnika Wojska, Rada Wojskowa w której bierze znowu udział Marszałek Piłsudski, nowy minister gen. Sosnkowski i premjer Dr. Grabski. Na fakt ten z otuchą spoglądać należy, tembardziej że obecnie na innem polu — jak to już wyżej wspomnieliśmy — wygrać chcemy nową walną bitwę w obliczu nie mniej groźnej niż w sierpniu 1920 r. katastrofy — i drugiego pragniemy cudu nad Wisłą.

Jest to jakby memento dla całego społeczeństwa, że oszczędności, — oszczędnościami, że „żelazne nożyce“ — konieczne, nie mogą one jednak w najmniejszym stopniu dotknąć gotowości bojowej naszej młodej armji, choćby i budżet wojskowy miał uledz częściowej redukcji.



Sojusz francusko-czeski: Prezydent Republiki Czecho-słowackiej Massaryk w swym gabinecie przy pracy.




Pomnik Mickiewicza na Rynku pokryty puchem śnieżnym.

Kraków w śniegu: Wisła pod Niepołomicami zamarznięta i pokryta grubą śnieżną pokrywą.

Kraków w śniegu.

Po łagodnych pierwszych tygodniach zima nakoniec zdecydowała nam pokazać swą moc i przepych swój. Ścisnęła silnie mrozem — tak, że Wisła cała pokryła się twardą skorupą lodową — a następnie sypnęła śniegiem obficie. Starzy ludzie od lat całych nie pamiętają takiej śnieżycy i takich śnieżnych zwałów, jakie całą Polskę pokryły. W niektórych okolicach chaty wiejskie zostały po dachy pogrążone w śniegu. Pole i tory kolejowe śnieg zasypał tak dalece, że komunikacja kolejowa z Warszawy i Śląskiem dwukrotnie była przerwana zupełnie. Pociągi z dwiema a nawet trzema parowozami nie mogły się przedrzeć przez potop śnieżnych zasp. Dało się to dotliwie we znaki mieszkańcom miast. Brak dowozu żywności z okolic i utrudnienie komunikacyjne stały się doskonałym sprzymierzeńcem szalejącej drożyzny.

Kto jednak umiał zapomnieć o tych dotkliwych klęskach życia codziennego, jakie potęgowała śnieżyca i umiał patrzeć oczyma estety — z zachwytem oglądał Kraków w śniegu.

Festony śnieżne zwisające z dachów, kamienice i kościoły ubrane w śnieżny pokrowiec, puszyste płaty i nawarstwienie na drzewach i pomnikach — cudowny przedstawiały obraz.

Uczczenie pamięci ś. p. Włodz. Tetmajera.

Jak się dowiadujemy — w kołach artystycznych i kulturalnych Krakowa powstała myśl uczczenia pamięci ś. p. Włodzimierza Tetmajera. W tym celu projektowane jest urządzenie w lutym b. r. wystawy pośmiertnej twórczości malarskiej Zmarłego, oraz urządzenie uroczystej akademji ku Jego czci. Pozatem powstał projekt, by w trwały sposób uczcić pamięć zgasłego artysty i patrjoty i w tym celu w projektowanym Muzeum Narodowem przy wylocie ul. Wolskiej ufundować salę im. Włodzimierza Tetmajera, która obejmowałaby dział całej grupy artystów, uczniów Matejki, do której ś. p. Tetmajer należał.

Inicjatorami tej myśli są dyr. Raszka i prof. Wodzinowski. Uznając myśl tę za niezwykle szczęśliwą i trafną ze względu na gorący udział, jaki ś. p. Wł. Tetmajer brał w pracy nad zbudowaniem Muzeum Narodowego — Wydawnictwo „Nowości Illustrowanych" zwraca się do swych Czytelników z gorącym apelem o jej poparcie.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę wielkiego Patrjoty i Artysty a ostatnio przyjaciela i przewodnika pisma naszego ś. p. Włodzimierza Tetmajera —

Wydawnictwo i współpracownicy „Nowości Illustrowanych" składają na rzecz Budowy Muzenm Narodowego, a mianowicie na utworzenie w niem sali im. Włodzimierza Tetmajera — mkp. 15.000.000.

Zgon Szefa Szt. Gen. Armji Francuskiej.

W ostatnich dniach roku 1923, po operacji ślepej kiszki, dokonanej d. 27 ub. m., zmarł w Paryżu szef Sztabu Generalnego gen. Buat.

Zmarły podczas wojny zajmował wybitne stanowisko w sztabie francuskim, szerszej publiczności zaś znany był jako autor książki o Ludendorfie, charakteryzującej zarówno osoby naczelnego dowództwa niemieckiego, jak i metody strategji tego okresu.

Następcą gen. Buat na stanowisku szefa sztabu został znany dowódca armji w czasie wojny, obecnie komendant wyższej szkoły wojennej gen. Debeney.

Zgon gen. Buata odbił się żywem echem w polskich kołach wojskowych. Minister Spraw Wojskowych, Gen. Dyw. Sosnkowski, przesłał d. 31 ub. m. następującą depeszę kondolencyjną:

„Minister Wojny w Paryżu".

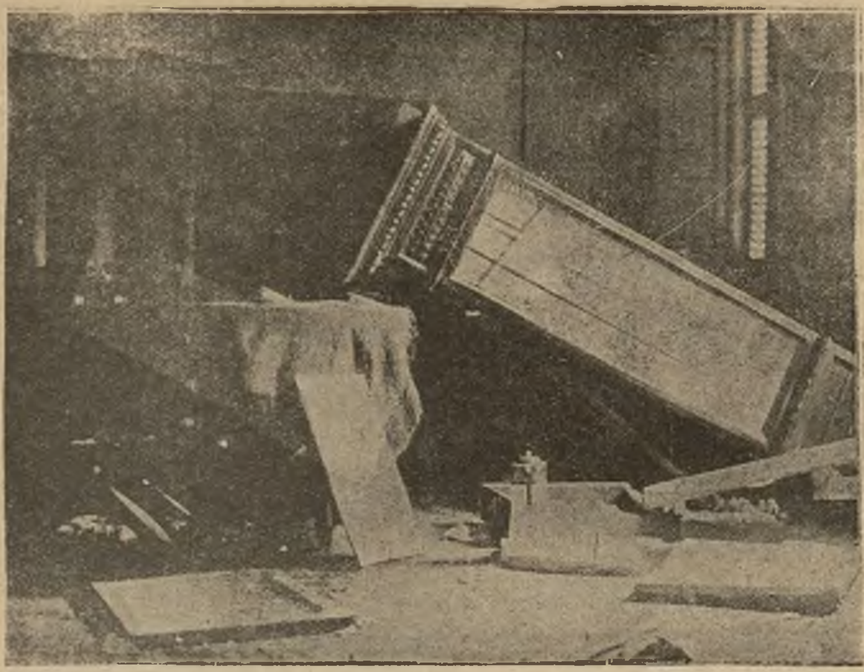
„Głęboko dotknięty wiadomością o nagłej śmierci Generała Buat spieszę złożyć w imieniu własnem i w imieniu całego Wojska Polskiego najszczersze współubolewanie jak i wyrazy głębokiego żalu z powodu zgonu dostojnego męża Stanu i wielkiego patrjoty, jakim był ś. p. Szef Sztabu Generalnego. Mam zaszczyt zawiadomić, że poleciłem naszemu attaché wojskowemu płk. Kleebergowi, by reprezentował Wojsko Polskie podczas uroczystości żałobnych.

(—) *gen. Sosnkowski*

Zamek, Pałac „Pod Blachą"



Kraków w śniegu: Wawel od strony „Kurzej stopki" — ubielony śnieżnym pokrowcem.





Walka wyborcza we Włoszech: Wnętrze rzymskiej willi b. premiera Fr. Nittiego po pogromie dokonanym przez faszystów połamane lustra i szafy i powywlekana z nich i poniszczona odzież.

Walka wyborcza we Włoszech

Kampanja wyborcza we Włoszech rozpoczęła się już na dobre. Wybory odbywać się będą na zasadzie nowej ordynacji wyborczej, której reformę przeprowadził Mussolini a która stronnictwu osiągającemu stosunkowo największą ilość głosów zapewnia przeważającą większość w parlamencie i przez to usuwa rozproszkowanie i niezdecydowanie i chaotyczny brak większości jaki znamienował dotychczas parlamentaryzm włoski i znamienuje dotychczas nasz Sejm polski.

Główną walkę stoczą ze sobą dwa obozy: — faszyści i popolari, katolickie stronnictwa założony przez ks, Sturza. Socjaliści nie stanowią obecnie we Włoszech żadnej siły, a i inne stronnictwa i grupy nikną w cieniu wobec tych dwuch głównych prądów.

Mussolini sam oczekuje wyniku wyborów ze spokojem i pewnością zwycięstwa. Musi on nawet powściągać i miarkować swych zwolenników, których namiętny i żywy, iście włoski temperament pcha do zbyt gwałtownych wystąpień. Nie zawsze jednak może on na czas zapobiec wykroczeniom.

Oto przed dwoma tygodniami fanatyczny tłum faszystów zaatakował w kolumnie południowej na ul. Aleksandro Farnese pałac b. premjera Francesca Nittiego, znanego z germanofilstwa i nieprzychylnego stanowiska wobec Polski i zniszczył dokładnie wewnętrzne urządzenie pałacu. Nie pomogły przedkładania, że p. Nitti wycofał się już zgodnie z życia politycznego, nie pomogły próby parlamentowania przez syna p. Nittiego, oficera armji włoskiej. — Dopiero auto ciężarowe z dziesiątkiem karabinierów zdołało przekonać napastników, że walka wyborcza nie wymaga niszczenia mebli przeciwników i zmusiło ich do odwrotu.

Zgon francuskiego szefa sztabu



Szef Sztabu Gen. Francji: Gen. Buat.

Trudne położenie Japonji.

Kraj Wschodzącego słońca — ziemia kwitnących wiśniowych sadów ciężki obecnie przechodzi kryzys. Straszliwe trzęsienie ziemi, które nawiedziło niedawno zielone wyspy Nipponu sprowadziło skutki ciężkie i kryzys socjalny, jakiego Japonja nie przeżywała od czasu zeuropenizowania się. Nędzą znękane szerokie masy burzą się — bezdomnych gromady wywołują ferment. Przed kilku dniami na ulicach Tokio dokonano, szczęściem nieudanego, zamachu na kś. regenta Hirohito. Jest on wypływem agitacji bolszewickiej, która tak zręcznie umie wyzyskać warunki społeczne. Natychmiast po zamachu dymisjonował gabinet hr. Yamamoto i utworzony został nowy z baronem Ischim jako ministrem spraw zagranicznych. Baron Ischi, znakomity polityk, reprezentował dotąd Japonję w Lidze narodów i Radzie ambasadorów.

Dużo jeszcze czasu upłynie nim Japonja zabliźni swe rany i odzyska swój dawny dobrobyt, czego my tylko jej życzyć musimy. *rd.*

Od Wydawnictwa.

Następny numer „Nowości Illustrowanych“ poświęcony będzie naszej marynarce. Zawierać będzie on szereg artykułów wybitnych znawców i oficerów naszej floty — tak wojennej, jak i handlowej — oraz bogaty dział ilustracyjny. Pozatem — „Nowości“ zawierać będą — jak zwykle — obfity materjał ilustracyjny aktualny.

Specjalne zamówienia uprasza się skierowywać wprost do Administracji w Krakowie ul. Kazimierza Wielkiego 95. tel. 479. lub też do naszych komisentów we wszystkich większych miastach.





Trudne położenie Japonji:
2) Regent ks, Hirohito na którego dokonano ostatnio zamachu, jadący rikszą po ulicy Tokio. 1) Ruiny domów na ulicach Tokio zburzonych trzęsieniem ziemi.

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

8

Czyniła takie wysiłki, iż końce paznokci wchodziły jej w skórę silnie zaciśniętych pięści. Nie przestawała zresztą uśmiechać się.

– Gdzie jest Maixent? – zapytał filantrop.

– Widziałam, jak wchodził do gabinetu wraz z Piotrem.

Miljarder kończył pierwszą partję pokera.

– Chce pan zająć me miejsce? – spytał wstając i ustępując go komuś, który zatrzymał się właśnie przy jego krześle.

– Z przyjemnością.

I Raul de Lagunan siadł do gry. Amerykanin z bezceremonjalnością, właściwą obywatelom Stanów Zjednoczonych, nachylił się do ucha Piotra i szepnął mu:

– Nie chcę, byś się kręcił po salonie, gdy przybędzie Karol Turner... Muszę rozmówić się spokojnie z nim i Duretem... Zabraniam ci więc ruszać się stąd, mój chłopcze... Rozkazem moim jest, byś grał...

Ton miljardera był czuły, brzmiała jednak w nim nuta nieugiętej woli. Piotr skinieniem głowy dał znak, że będzie posłuszny. Juljan Maixent opuścił gabinet. Prawie w tej samej chwili Panajon wychodził z jadalnego pokoju. Obydwaj mężczyźni spotkali się pośrodku salonu. Mieli już się wymijać, gdy podszedł do nich Maksym Duret i zatrzymał ich, mówiąc:

– Panowie pozwolą, że ich zapoznam z sobą... Pan Juljan Maixent... Pan Karol Turner, przemysłowiec z Melbourne.

– Bardzo mi przyjemnie! – wymówili jednocześnie miljarder i mniemany Australczyk.

Z początku zamienili kilka banalnych zdań z Maksymem Duretem, który zwrócił zaraz rozmowę na przedmiot, interesujący ich wszystkich trzech.

– Mamy dzisiaj wieczorem między sobą i króla stu dwudziestu koni – rzekł.

– Piotra Cartelegue'a – zapytał Panajon.

– Tak... Jest to jeden z naszych przyjaciół... Moja cioteczna wnuczka Kamila odbyła z nim w ostatnich czasach kilka przepięknych spacerów samochodem... Ma się rozumieć nie byli oni sami – dodał filantrop z uśmiechem – Towarzyszyła im nauczycielka, panna Dubois...

Panajon przy tem imieniu starał się zarumienić. Nie udało mu się to jednak. Zadowolił się więc lekkiem kaszlnięciem z pozorem zakłopotania.

– Ale a propos panny Dubois, nie widzę jej tu wcale? – Zauważył Juljan Maixent.

– Och! już to już przeszło dwa tygodnie, jak siostrzenica moja musiała jej podziękować! – odrzekł prezes.

Fałszywy Karol Turner zrobił zażenowaną minę.

– Doprawdy? – ciągnął dalej Amerykanin. – Uważałem ją za bardzo wykształconą!

– Nie wykształcenie też jej pozostawiało wiele do życzenia – odparł Maksym Duret. – Chodziło o jej postępowanie...

– Ach! ach! Zbytek piękności nieraz szkodzi! — odezwał się miljarder.

— Uznawał pan za piękną tę młodą pannę? – zdziwił się prezes. — Mnie się wydawało przedewszystkiem ordynarną...

Panajon udał, że się zapomina.

– Ordynarną? – zawołał z oburzeniem.

– Pan ją znał? – zapytał Juljan Maixent.

– Ja? — rzekł złodziej, starając się okazać wielkie zmieszanie. – Właściwie mówiąc... Widziałem tylko raz w lasku Bulońskim pannę de Lagunan w towarzystwie jakiejś osoby, skromnie ubranej... pomyślałem wówczas, że zapewne jest to jej nauczycielka...

Robił minę, że się wikła, że nie wie, jak się z tego wykręcić... Wreszcie z pozornem zakłopotaniem przerwał rozmowę:

– Co za gorąco! jakież straszne mam pragnienie! Panowie wybaczą mi, że pójdę je ugasić...

I podał rękę Juljanowi Maixentowi. Amerykanin oddał mu potężne shakehand i zatrzymując go na chwilę, dodał:

– Spodziewam się, panie Turner, że nasza znajomość na tem się nie skończy...

– Bardzo mi będzie miło... I ja sądzę, że nie...

– Pan długo zabawi w Paryżu?

– Nie wiem jeszcze sam... Od dość dawna jednak już tu przebywam...

– Gdzie pan mieszka?

– W Tuileries-Palace... Lecz jutro przenoszę się na ulicę Boissy d'Anglai nr. 36... Do widzenia...

I Panajon skierował się do sali jadalnej, podczas, gdy Maksym Duret mówił do Amerykanina:

– I cóż! jak to przewidywałem i jak to mu nakazywał obowiązek światowego człowieka, nie chciał nic powiedzieć... Zakłopotanie jednak, jakie okazał, mnie że nam starczyć za wyznanie... Muszę poinformować siostrzenicę o tem pierwszem spotkaniu... Opuszczam pana... Niebawem odszukam pana znowu...

– Proszę bardzo!

Juljan Maixent siadł na uboczu i pogrążył się w rozmyślaniu. Zachowanie się Australczyka nie odpowiadało jego oczekiwaniu. Jak mówił prezes, równało się to prawie formalnemu wyznaniu.

„Czyżbym się mylił?.. – myślał miljarder. – Czyżby Ludwika Dubois rzeczywiście utrzymywała występne stosunki z tym człowiekiem?... Zdradliwy spisek uknuty przeciw niej, czyżby istniał tylko w mej wyobraźni?.. I w takim razie byłoby to samo i z podstępem przeciw Magdalenie?..."

Zmarszczone i ostre rysy businessmana zdradzały natężenie myśli, postanowienie niezłomne dotarcia aż do gruntu tej sprawy.

– Nie! – szepnął do siebie po chwili. — Nie mogłem się omylić... Prezes i baronowa są najprawdopodobniej dwoma zwykłymi moralnymi opryszkami... A Karol Turner wraz ze swemi minami i udawaniami odgrywa tylko rolę, jaką mu podyktowali... Tak... Kompromituje Ludwikę Dubois, by ich ocalić...

Miljarder więc dzięki swej niezwykłej inteligencji odgadywał prawie całą intrygę. Sądził tylko, że ma do czynienia z prawdziwym Karolem Turnerem. Na błędną drogę wprowadziła go ta zuchwała śmiałość Maksyma Dureta. Nie mógł dopuścić tej myśli, by prezes podszył pod nazwisko wielkiego przemysłowca cudzoziemskiego, najprostszego złoczyńcę paryskiego.

Lecz – ciągnął dalej – dlaczego ten Karol Turner oddaje im tak wstrętną usługę?... Jakimi więzami go skrępowali, iż tak ugina się pod ich wolą?... Ach! nie jedną jeszcze rzecz będę musiał wyświetlić, zanim stwierdzę niezbicie ich winę i będę się mógł z nimi rozprawić...

Juljan Maixent rozmyślał właśnie o tem wszystkiem, gdy nagle z gabinetu, zamienionego na salon gry, doleciały go odgłosy jakiejś bójki i przewracanych krzeseł.

IX

Opuszczając Maksyma Dureta i Juljana Maixenta, fałszywy Australczyk skierował się z powrotem do bufetu, lecz po chwili udał się do grających. Raul de Lagunan, Piotr, inżynier i pan Radoux siedzieli przy stole gry.

Panajon stanął koło nich.

„Do djabła! – pomyślał baron, przypatrując się złodziejowi i królowi stu dwudziestu koni. Ciekawym, jakieby też nastraszone miny zrobili, gdyby się znali!" Wiedział, że Turner jest rywalem Piotra, lecz na tem tylko ograniczały się jego wiadomości o dramacie, w którym główną rolę odgrywała pani de Lagunan. Nie rozumiał też, dlaczego baronowa dopuściła się ta jej nieroztropności i zapoznała obu tych ludzi. Partja tymczasem kończyła się. Maurycy de Terrade pragnął powrócić do salonu, by słyszeć i widzieć Kamillę.

– Kto chce zająć me miejsce? – rzekł, powstając.

– Ja! – odezwał się Panajon.

I biorąc krzesło inżyniera, siadł z lewej strony koło barona. Pan domu z powyższych pobudek nie uznał za roztropne przedstawiać nowego gracza swym partnerom.

Dobrze pan gra? – zapytał go, by powiedzieć cośkolwiek.

– Dość dobrze... – odparł Panajon.

– Grając w pokera, jak zresztą i w większość innych gier – odezwał się sentencjonalnie pan Radoux — trzeba mieć przedewszytkiem pewność sobie i wierzyć w swe szczęście.

„I umieć dorzucić w właściwej chwili potrzebną kartę" – pomyślał złodziej, który pod tym względem mógł zakasować niejednego prestidigitatora.

Uwagę tę jednak zachował dla siebie, głośno zaś dodał:

Tak, wiele pewności siebie, a także i dobrą pamięć, nie mówiąc już o inteligencji... Dobrze grać w karty jest to zadanie dość trudne... a nawet męczące... Wstrzymuję się też od niego w czasie gorąca...

– Naprawdę? – zapytał Radoux.

Piotr pochmurny i zamyślony siedział w milczeniu, czekając, aż zacznie się nowa partja. Baron zaś zwrócił na Australczyka swą ceglastą, spaloną na odkrytem powietrzu twarz i spoglądał na niego z poza monokla swem niebieskiem okiem. Gość ten wydawał mu się oryginalnym.

— Tak – mówił dalej złodziej – ulubioną też moją grą jest następująca. Przekonają się zaraz panowie, że nie wymaga ona ani wielkiego wysiłku inteligencji, ani sił fizycznych... a na to trzeba przedewszystkiem zwracać uwagę w styczniu...

— Powiedział pan, że grywa w tę grę, gdy jest gorąco... – zauważył baron.

– Istotnie!

– A przecież w styczniu jest zimno!

– W pańskim kraju! W moim, nie!

– Jakto? W pańskim, nie?

— Jestem Australczykiem.

Piotr uczuł, jak krew mu uderza do głowy. A więc ten siedzący wprost niego jegomość jest Karolem Turnerem. Baron, który nie miał zbyt lotnego umysłu i był przejęty odpowiedziami mniemanego przemysłowca, nie zauważył, iż ten swemi słowami zdradził się przed Cartelegue, kim jest.

– Wiem o tem, że pan jest Australczykiem! – odparł. – Lecz cóż z tego?

— Ponieważ Australia znajduje się na południowej półkuli, u nas smażą się na słońcu, gdy we Francji na północnej półkuli marzną z zimna...

– Ach! tak... tak... Rzeczywiście! — potwierdził baron, zakręcając wąsa.

Wiedział on ogólnikowo, że pory roku nie są jednakowe w jednym czasie na całym globie ziemskim, nie był jednak zbyt pewny swych wiadomości kosmograficznych.

„Mniejsza z tem – pomyślał. – W każdym razie to ciekawe, futro włożyć 14 lipca na święto narodowe, a kapelusz panama na Boże Narodzenie! Co za kraj!"

Z tego też względu, że Karol Turner pochodził właśnie z tego kraju, zaczął spoglądać na niego z większem zainteresowaniem.

Raul de Lagunan hołdował kultowi oryginalności. Myślał ciągle nad tem, coby uczynić niezwykłego. Niestety, brakowało mu wyobraźni. Zazdrościł swoim przyjaciołom, którzy szczodrzej byli obdarzeni przez naturę i mogli zadziwiać swych znajomych. Z tymi właśnie przyjaciółmi założył przy bulwarze Kapucyńskim klub, który w ich mniemaniu miał być świątynią ekscentryczności. Gdy zaczęły się narady nad wyszukaniem nazwy klubu, długo wahano się między „latarnikami" a „kalafiorami", wkońcu jednak po długich debatach zgodzono się na „neurastenników". I „neurastenicy" dzięki egzotyczności swych fantazji, stali się wkrótce sławnymi.

„Tak, tak! – powtarzał sobie baron, nie przestając przyglądać się przez monokl Karolowi Turnerowi. – Niech mówi, co kto chce, lecz to jest oryginalne, by się po zimowemu ubierać w kanikułę, a po letniemu na Nowy Rok. Wszyscy mieszkańcy tamtego kraju winni być członkami korespondentami naszego klubu".

— Lecz na czem ta gra polega? — pytał pan Radoux.

– Siada pan naprzeciw swego partnera przy stole – tłómaczył Panajon – mając przed sobą rozłożony banknot... I czeka pan, aż mucha usiądzie na pańskim banknocie, lub też pańskiego towarzysza... Właściciel banknota, na którym siadła mucha wygrywa stawkę swego partnera... Oto cała gra!

– Nie bardzo skomplikowana! – rzekł notarjusz.

Nie bardzo skomplikowana, ale za to niezwykle oryginalna! – zawołał entuzjastycznie Raul de Lagunan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów).

8

— Dziękuję ci, kochany chłopcze, bardzo dziękuję. Skorzystam z twej przestrogi. Istotnie, że natręctwo tego pana i mnie było podejrzane. Nie dowie on się niczego odemnie.

Stuart pożegnał się z doktorem zbierał się w drogę i powtarzał sobie: „a to dziwne! dziwne! Leonora Arnym w domu obłąkanych!"

XIV.

I ZNOWU ZNIKNĘŁA!

Na odległem przedmieściu w Chicago, pośród cienistego ogrodu widać okazały budynek. Jest to prywatny zakład dla obłąkanych dra Burtona. W obszernym, starannie urządzonym pokoju na drugim piętrze, siedzi w oknie piękna, młoda kobieta. Twarz ma bladą, zmęczoną; wyraz tęsknoty na niej się rozsiadł; usta cierpieniem moralnem skrzywione, oczy na pół łzawe.

Smutne myśli ją ogarniają: „Po co żyję? zadawała sobie pytanie. Dziecięce lata moje osłania tajemnica; potem patrzała m na złamane życie matki, zbolałej wciąż znękanej; potem to, co się stało! Teraz chronić się przed ludźmi, ukrywać i udawać obłąkaną, aby uniknąć pościgu. Więźniem jestem, niewolnicą ciężkiego losu. Więzień ma w tem pociechę, że kiedyś otworzą mu bramę więzienną i odzyska wolność. A ja? Ja nigdy nie będę swobodna, nigdy szczęśliwa!

Jak szczęśliwi ci tam, co tak ciężko w ogrodzie pracują! Co to? Do bramy zdąża ktoś nieznany. Boże! to on!

Raz go tylko widziałam, ale nie zapomnę nigdy, to agent policyi! Już mnie odkryli, pochwycą, zabiją, myśląc, żem go zamordowała!

Zerwała się, odbiegła od okna, a tymczasem do bramy zadzwonił Stuart i gdy mu otworzono, kazał się zaprowadzić do dra Burtona.

— Jan Jakób Austin — przedstawił się Stuart.

— Czem mogę służyć? — zapytał dr Burton, człowiek bardzo miły, uprzejmy.

— Przychodzę z polecenia dra Austina.

— Czy to krewny pana?

— Bardzo daleki, ale ja mieszkam u niego, zaprawiając się co nieco do medycyny.

— Niechże się pan rozgości. Proszę bardzo. Dr Austin jest moim serdecznym przyjacielem, więc miło mi poznać jego kuzyna. Jakież to pan ma zlecenie do mnie?

— Prosił mnie, abym odwiedził jego pupilkę, którą tu niedawno u pana umieścił.

— A! pannę Lynn! Zapewne o niej pan mówi?

Stuart zbił się nieco z tropu, bo nie wiedział, że pod tem nazwiskiem Leonora tu przebywa. Nie odpowiadając na pytanie, czekał, jakby milczeniem chciał pytanie potwierdzić.

— Jakże się miewa?

— Wybornie. Jej choroba była właściwie tylko silnem rozdrażnieniem nerwów.

— Ja jej nie znam wprawdzie, ale dr Austin życzył sobie, abym ją zobaczył i zdał mu sprawę, jak wygląda, jakie sprawia wrażenie. Jeżeli pan zechce mi to zezwolić, to proszę mnie jej pani przedstawić.

— Bardzo chętnie i owszem; to jej nawet sprawi przyjemność, gdy pozna kuzyna swego opiekuna. Ona jest zupełnie przytomna, jak my obaj. Cała sprawa ogranicza się do tego, iż sobie uroiła, że ją chcą uwięzić i zamordować.

— Dr Austin polecił mi zapytać się jeszcze, czy nie byłoby korzystnem zmienić jej miejsce pobytu?

— Hm! to możliwe, ale musiałaby mieć spokój, ciszę i nie stykać się z ludźmi, bo cierpi na antropofobię. Dopiero zwolna, gdy się już całkowicie uspokoi, będzie można otoczyć ją dobranem towarzystwem. Zaraz pan zobaczy pupilkę swego kuzyna.

Dr Burton zadzwonił i rozkazał wchodzącej dozorczyni, aby poprosiła na chwilę pannę Lynn.

Dozorczyni poszła spełnić zlecenie. Zapukała do drzwi pacyentki.

— Czy to Joanna? — odezwał się głos z wewnątrz.

— Tak panienko, to ja. Czy mogę wejść.

Drzwi się otworzyły. Leonora Arnym stanęła w progu.

— Czego sobie Joanna życzy?

— Pan doktor prosi na chwilkę do siebie, bo tam czeka jakiś młody pan.

— Tak? Zaraz przyjdę, ale wpierw muszę się umyć i przebrać. Pisząc list oblałam się atramentem. Proszę mi przynieść gorącej wody i zostawić ją za drzwiami; tymczasem będę się przebierała.

Służąca się oddaliła, a Leonora włożyła prędko kapelusz na głowę, zarzuciła płaszcz na siebie i cicho, ostrożnie przesunęła się przez korytarz i boczne schody ku ogrodowi. Przebiegła go prędko i znikła na ulicy.

Tymczasem rozmawiali obaj panowie o tem i o owem, ale gdy pół godziny upłynęło, a pacyentka nie przychodziła, zaczął niecierpliwić się dr Burton i posłał dziewczynę ponownie po nią.

Dozorczyni wróciła bardzo zakłopotana.

— Niema panny Lynn.

— Dokądże wyszła? — spytał dr Burton, cokolwiek zaniepokojony.

— Nie wiem. Gdy jej powiedziałam, że pan doktor na nią czeka, kazała mi przynieść gorącej wody do mycia i postawić ją za drzwiami pokoju. Mówiła, że się musi przebrać i myć ręce z atramentu. Wodę postawiłam, jak kazała i poszłam do innych chorych. Gdy teraz zajrzałam do pokoju, panny Lynn już nie było a woda została przed drzwiami nietknięta.

— Co to jest? — zawołał dr Burton. — Niezawodnie dostała napadu gwałtownego rozdrażnienia.

— Czy panna Lynn wiedziała, że tu ktoś czeka na nią? — zapytał Stuart dozorczyni.

— Ja jej powiedziałam, że jest jakiś młody pan.

— A na co? kto kazał o tem mówić? — rzekł Stuart opryskliwie.

— Niech Joanna poszuka panny Lynn w korytarzach i w ogrodzie — rozkazał dr Burton.

— Proszę pana panie doktorze, zaprowadzić mnie natychmiast do pokoju zbiegłej pacyentki, a jeżeli pan się domyśla, gdzie się ukryła, proszę ją natychmiast sprowadzić — rzekł Stuart tonem stanowczym i energicznym.

Dr Burton zdumiał się i obraził, to też poważnie i z wielką godnością odpowiedział:

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, że to zuchwalstwo prawdziwe, rozkazywać w moim zakładzie. Pacyentami ja się opiekuję, ja tu rozporządzam, a jeżeli pacyentka widzieć kogoś nie chce, ja jej zmuszać do tego nie będę.

— Bardzo ubolewam, że panu to nie miłe, ale mimo tego ponawiam stanowczo moją prośbę.

— A ja powtarzam, iż jej nie spełnię.

— W takim razie muszę tego żądać i wezwać pana, abyś me żądanie spełnił.

— Kto pan jesteś, że ośmielasz się w ten sposób przemawiać?

— Jestem ajentem policyi i przybywam tu, aby spełnić obowiązki urzędowe. Proszę mi nie przeszkadzać w urzędowaniu.

Joanna wróciła z doniesieniem, że panny Lynn niema nigdzie w zakładzie. Stuart, nie oglądając się na doktora, rozkazująco zwrócił się do Joanny.

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do pokoju panny Lynn.

Tyle było siły w tym rozkazie, że Jonna, nie czekając, co kto na to powie, wybiegła a za nią pospieszył Stuart.

Rozejrzał się dokładnie we wskazanym sobie pokoju.

— Proszę dobrze się przypatrzyć, czy nie brakuje tu którego z ubrań panny Lynn.

— Niema kapelusza i płaszcza — odpowiedziała Jonna — a były na wieszadle.

Dr. Burton, który chwilowo osłupiał ze zdumienia, zjawił się także w pokoju swej pacjentki a oddaliwszy Joannę, zapytał gniewnie:

— Co to wszystko ma znaczyć? Żądam wyjaśnienia. Czy dr. Austin pana tu przysłał? Czego policja szuka u panny Lynn.

— Dr. Austin nie przysłał mnie wcale — rzekł Stuart poważnie. — Ten zacny człowiek nawet nie przeczuwa zapewne, jakie podejrzenia ciążą na jego pupilce. Zdaje mi się, że pańska pacjentka uciekła. Czy ona nie była pod dozorem?

— Nie było potrzeby. Mówiłem już, że jest zupełnie zdrową na umyśle, a jedynie rozdrażnienie nerwowe jej dokuczało. Tacy chorzy nie zostają pod dozorem i mogła swobodnie chodzić po zakładzie, a nawet wychodzić z niego.

— A więc uciekła! — zawołał Stuart. — Przepraszam, że pana niepokoiłem. Do widzenia, panie doktorze.

To rzekłszy, oddalił się Stuart z zakładu szybko i wypadł na ulicę. Stanął bezradny, zły, zakłopotany.

— I znowu zniknęła! — myślał z goryczą — a już byłem tak blisko celu!

• • •

Leonora opuściwszy zakład, wsiadła do pierwszej napotkanej karetki i kazała się obwozić, jak osoba chcąca użyć ruchu, a nie mogąca wiele chodzić. Myślała, co teraz robić? Wyjechać z Chicago nie podobna, bo niezawodnie na wszystkich dworcach czatuje na nią policja. Znajomych nie ma, prócz Kate Scaton, więc nie ma się u kogo schronić. Mimowoli rzuciła okiem na książkę inseratową, zawieszoną w karetce. Machinalnie zaczęła ją przeglądać.

Wpadł jej w oczy anons jakiejś byłej śpiewaczki operowej, która udziela lekcji śpiewu i sposobi młode panny do sceny.

To jej się uśmiechnęło.

Pomyślała sobie, że jej w takim zakładzie nikt nie będzie szukał. Tam postanowiła się schronić — tam kazała fiakrowi się zawieść.

Karetka zatrzymała się w ubocznej uliczce, przed domem skromnym, przylegającym do ogrodu. Nad drzwiami był napis: „Szkoła śpiewu panny Harris".

Leonora zadzwoniła, we drzwiach ukazała się kobieta około lat pięćdziesięciu.

Znać było jeszcze, że kiedyś była piękną. Dziś miła, sympatyczna, uprzejma.

— Czy mogłabym się widzieć z panną Harris? — zapytała Leonora.

— Proszę, ja jestem.

— Przybywam tu wskutek anonsu pani.

— A, proszę pani, bardzo mi przyjemnie.

Zaprowadziła Leonorę do saloniku, mającego wszystkie cechy aktorskiego nieładu i aktorskiej fantazji. Dużo szychu, dużo świecidł, mało smaku i powagi.

— A więc czytałaś pani mój anons? Czy pani chce do sceny się sposobić?

— Tak pani. Chciałabym zostać śpiewaczką, oczywiście, jeżeli pani uzna, że posiadam głos i zdolności zarówno muzykalne jak i sceniczne.

— To można prędko ocenić — rzekła panna Harris uprzejmie.

Widząc dziewczynę piękną, o postawie prawdziwie uroczej, inteligentną, skromną, dobrze wychowaną, co od pierwszego rzutu poznała, ucieszyła się stara śpiewaczka takim nabytkiem.

Obliczyła odrazu, jakie korzyści mieć będzie z takiej kandydatki do sceny. Niezwykła jakaś kandydatka! Więc z największą słodyczą rozmawiała z Leonorą:

— Czy mogę prosić o podanie mi nazwiska?

— Jestem Lena Voss.

— Czy pani życzy sobie zaraz rozpocząć naukę?

— Tak, skoro tylko znajdę jakie umieszczenie. Jestem tu zupełnie obcą, więc nawet nie wiem, przy kim zamieszkać bym mogła. Obawiam się trafić nie na swoje towarzystwo. Sierota, bez przyjaciół i znajomych, potrzebowałabym też życzliwej rady i opieki. Posiadam wprawdzie dostateczne zupełnie fundusze, może nawet więcej niż mi potrzeba, ale przyjaciół za pieniądze nabyć nie można...

Mówiła to szczerze, bo stara śpiewaczka wydała jej się bardzo sympatyczną i uczuła do niej jakiś serdeczny pociąg.

— Jeżeli tylko pani pozwoli, to najchętniej usłużę ci radą i opieką.

— Przedewszystkiem muszę powiedzieć, kim jestem. Sierota, posiadam dość znaczny majątek, od którego pobieram regularnie procenta. Po śmierci rodziców wyznaczono mi opiekuna. Człowiek to zły, dokuczliwy. Uparł się, aby mnie wydać za swego syna, który mi był wstrętny. Opiekun czyhał na mój majątek i chciał nim siebie i syna swego wzbogacić. Gdy stanowczo odmówiłam, tak mi dokuczał, tak po prostacku ze mną się obchodził, że musiałam uciec i ukryć się w Chicago.

— Dobrze pani uczyniłaś.

— Otóż opiekun będzie mnie pewno szukał, ścigał. Chciałabym ukryć się przed nim, aby uniknąć prześladowania. Byłabym wdzięczną, gdyby mi pani takie schronienie wskazała.

— U siebie umieścić pani nie mogę, bo nie mam miejsca, ale mam przyjaciółkę w sąsiedztwie, która pani odstąpi wygodny pokój. Tam możesz być zupełnie spokojną i bezpieczną, tam pani nikt szukać nie będzie.

XV.

NA WSI I W MIEŚCIE.

Dr. Austin siedział przy śniadaniu, popijał herbatę i myślał, kiedy też jego ulubieniec wróci. Przywiązał się do swego imiennika, lubił z nim gawędzić, brakowało mu więc teraz jego towarzystwa.

Przyniesiono mu z poczty dwa listy. Według swego zwyczaju obejrzał kopertę dokładnie, zanim ją rozdarł. Na adresie poznał pismo swego przyjaciela, dra Burtona.

Myślał, że to zwykła relacja o pupilce, więc bez pośpiechu rozdzierał kopertę.

Jakież było jego zdumienie i przerażenie, gdy przeczytał list następujący:

Kochany Przyjacielu!

Oczekuję Cię niecierpliwie. Panna Lynn opuściła mój dom potajemnie niespodzianie. Zjawił się tu u mnie jakiś młody człowiek, nazwiskiem Jan Jakób Austin i oświadczył, że się chce widzieć z panną Lynn z Twego polecenia. Posłałem po nią, ale zamiast przyjść do poczekalni, nagle zniknęła. Ów młody człowiek powiedział mi wtedy, że jest ajentem policji, a przybył tu dlatego, że panna Lynn jest posądzona o popełnienie zbrodni, poczem wypadł jak szalony, zapewne w pogoń za zbiegłą. Sądzę, że jej nie znalazł. Przybywaj!

Twój dr. Burton.

Dr. Austin nie mógł się długą chwilę opamiętać; list przyjaciela wydał mu się prawdziwie bajecznym.

Ocknąwszy się wreszcie, jakby ze złego marzenia, wziął w rękę list drugi.

Poznał pismo swego imiennika, więc rozdarł kopertę niecierpliwie, spodziewając się tu jakiegoś wyjaśnienia:

Czcigodny Panie!

Domyślam się, że dr. Burton doniesie Panu o mojej wizycie w jego zakładzie, więc poczytuję sobie za obowiązek dodać małe wyjaśnienie. Musiałem być blisko Pana i dlatego udawałem imiennika. Uczyniłem to dlatego, że najżyczliwiej jestem usposobiony dla Pańskiej pupilki. Proszę w imieniu dobra tej osoby, aby Pan zachował wszystko w tajemnicy, a wystrzegał się pana Bradmardina, który czyha na życie tej osoby. Nie wątpię, że mi Pan wybaczy mistyfikację, gdy się sprawa ostatecznie wyjaśni. Jestem ajentem policyjnym, zawsze pełnym czci dla Pana.

Fałszywy Austin.

Uspokoił się nieco tym drugim listem, ale natychmiast zabrał się do wyjazdu. Trzeba było sobie zamówić miejsce w omnibusie, który dowoził podróżnych do najbliższej stacji kolejowej. Nie czekając służby, biegnie sam, gdy tuż koło domu spotyka człowieka, noszącego pudło na plecach.

— A dobrze, że was spotykam kochany panie Peterkin. Idziecie pewnie do domu, co?

— Tak, panie doktorze, do usług.

— No, to mi oszczędzisz drogi, dobrze?

— Co pan doktor rozkaże?

— Zechciej mi kochany panie Peterkin zamówić miejsce w omnibusie, do pierwszego pierwszego pociągu do Chicago.

— Z największą ochotą proszę pana doktora.

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

Doktor wrócił do domu a Peterkin spiesznie zdążał ku zajazdowi, którego właściciel był też właścicielem omnibusu.

Ciekawy to człowiek ów Peterkin. Zjawił się tu przed miesiącem, jako domokrążca. Wszędzie było go pełno, wszędzie zawierał znajomości, wszystkim się wysługiwał i usługi miał. Zyskał też sobie sympatję wielką i zaczął się stawać powiernikiem wszystkich.

Gdy wszedł do gospody, spostrzegł za stołem Jasona Bradmardine, ale udał, że go nie widzi i głośno z progu zawołał:

— Hej, panie Marks, kiedy omnibus odchodzi?

— Za pół godziny — odpowiedział właściciel gospody i omnibusu.

— Dr Austin prosi, aby zatrzymać dla niego miejsce.

Powiedziawszy to, wybiegł prędko do swego mieszkania i co tchu zbierać się zaczął do podróży. Z małym tobołkiem wrócił do gospody i dla siebie jeszcze zamówił miejsce. W omnibusie zdążali do stacji dr Austin, Peterkin, a także i Jason Bradmardine.

Nie bardzo było przyjemnie doktorowi w towarzystwie Jasona, mimo tego zagadnął go od niechcenia:

— Czy pan już zupełnie opuszcza Fairlic?

— O nie — odpowiedział Jason obojętnie — Ot tak, na kilka dni, mała przejażdżka do miasta. A pan doktor na długo do Chicago?

— O nie, tylko dla konferencji lekarskiej, a przytem chcę słyszeć wykład sławnego uczonego dra Dardy. Możeby pan także chciał być na wykładzie?

— Prawdę powiedziawszy, to mnie te rzeczy mało obchodzą.

— Szkoda, żałuję bardzo. Towarzystwo pańskie bardzoby mnie cieszyło.

Po prawdzie doktor nie był w tej chwili szczerym, bo towarzystwo Bradmardina było dlań wstrętne, ale chciał się jakoś wywiedzieć, po co ten podejrzany człowiek jedzie z nim równocześnie do miasta.

Oczywiście, że podejrzywał go o to, iż zamierza coś niedobrego względem Leonory.

Nie kleiła się rozmowa, więc doktor zaczął czytać dziennik, toż samo uczynił i Jason. Dojechali do Chicago; wychodząc z dworca Dr. Austin siadł do fjakra i kazał jechać prędko. Jason wziął drugiego fjakra i kazał mu jechać za pierwszym. Do trzeciego siadł Peterkin i za tamtymi jechać kazał.

Trzeci fjakier przyświadczył z ochotą, że tamtych ani spuści z oka. Był to przebrany Jocellyn, a wiózł swego ajenta angielskiego, Franciszka Ferrasa, czyli domokrążcę w Fairlic: Peterkina.

Stuart zawiadomił Jocellyna o wszystkiem, co się stało w zakładzie dra Burtona i zwrócił mu uwagę, że dr Austin pewnie przyjedzie do Chicago, a za nim podąży też niezawodnie i Bradmardine, aby odkryć schronienie Leonory. I oto Jocellyn został improwizowanym fjakrem, by czuwać na dworcu i albo narzucić się wyczekiwanym podróżnym, albo też za nimi jechać.

Skoro Bradmardine zobaczył, że dr Austin zatrzymał się przed zakładem dra Burtona, kazał zawrócić i zawieść się do swego mieszkania. Peterkin zdążał za nim niespostrzeżenie i w sąsiedztwie Jasona najął sobie pokój.

• • •

Tymczasem Stuart szukał Leonory, pewien, że się w Chicago ukryła i zaglądał też do pani Arteveldt, która mu wciąż przypominała, aby uwięził mordercznię syna. Spotykał tu często Kate Scaton, przyczem dowiedział się, że między nią i Jocellynem ścieśniają się węzły sympatji i przyjaźni. Pewnego razu wręczyła mu Kate wonieiący liścik i rzekła:

— Panna Laura Durand prosiła mię bardzo, abym panu oddała to pismo, skoro tylko pana zobaczę. Oto jest. A jak pachnie!

— Czy się pani zaprzyjaźniła z panną Durand? — zapytał Stuart biorąc bilet z uśmiechem.

— Właściwie nie, to jest nie wiem, jak się wyrazić, zdaje mi się, żebyśmy przyjaciółkami być nie mogły, bo nasze usposobienia... Znamy się, widujemy, bo Laura przychodzi często do pani Arteveldt, która ją bardzo lubi.

Stuart tymczasem przeczytał list Laury, była tam prośba, aby ją odwiedził jaknajprędzej.

Ciekaw był niesłychanie, czego też ona chce od niego.

Zaraz nazajutrz poszedł.

Na schodach spotkał Duranda; ten mu powiedział o chorobie żony i prosił, aby ją odwiedził, pomówił z nią wesoło, bo ona lubi ożywiające pogadanki. Bardzo chętnie to uczynił, zabawił długą chwilę u Durandowej. Znał ją dobrze, wiedział, że to osoba nerwowa i chorowita, ale nie wyobrażał sobie, aby w ciągu kilku dni tak bardzo zmienić się mogła.

Wyglądała wycieńczona, bezsilna, jakby po przebyciu śmiertelnej choroby.

Stuart rozweselił ile było można cierpiącą panią Durand, a wychodząc rzekł do Duranda, który go na korytarz odprowadził:

— Muszę z panem pomówić o sprawie bardzo ważnej. W tej chwili nie mam czasu, zresztą musimy mówić swobodnie aby nas nikt nie słyszał. Wkrótce zgłoszę się do pana.

Nie czekając odpowiedzi udał się do Laury. Przywitała go z kokieteryjną uprzejmością. Wyglądała istotnie uroczo; jeszcze nigdy tak pięknie nie wydała się Stuartowi.

Była mistrzynią w sztuce podobania się i okazywania swej piękności. Rozmowa zaczęła o rzeczach obojętnych, a potem zeszła na temat tragedii Arteveldta.

Właściwie powiedziawszy, to dlatego pozwoliłam sobie trudzić pana, aby o biednym Franku pomówić. Pan wie, że łączyła nas istotna przyjaźń. Żal mi go bardzo. Biedny. To następstwa ciągłych jego miłostek.

— Miłostek? powiada pani, a ja sądziłem, że on miał jeden tylko przedmiot miłości. Powszechnie mniemano, że jedynie i wyłącznie pani był oddany. Podobno mu pani odmówiła wzajemności?

— A mój Boże! Co też sobie uroiono. Frank kochał się w pewnej osobie, zbliżonej do mnie stosunkami domowymi, czy może zażyłością, jeśli nie przyjaźnią. Matka Franka nie chciała nawet słyszeć o tem, tak była przeciwną skłonnościom syna. Biedny Frank zwierzał się przedemną ze swych utrapień, niekiedy szukał u mnie pośrednictwa, no i z tego powstało mylne przypuszczenie, że we mnie się kocha.

— Jeżeli tak, więc to pewnie panna Brown była przedmiotem miłości Franka?

— A jakże pan skory do przypuszczeń. — Wszakże nie powiedziałam żadnego nazwiska, a i nie mam zamiaru od łanić tajemnicy.

— Więc zostawia mi pani swobodę w domysłach?

— Nie mogę jej zabronić.

— A więc panna Brown...

— O o, proszę mi nawet nie wspominać tego nazwiska — zawołała Laura jakby z oburzeniem.

— Co się stało? — spytał Stuart niby bardzo zdumiony.

— Oddaliłam ją, musiałam ją oddalić, chociaż była do mnie bardzo przywiązana.

— A cóż za powód? Wszakże była tak wierną towarzyszką pani.

— Zachowałam dla niej życzliwość, ale oddalić musiałam, ba, bo... Nelly aż do zbytku przepadała za... klejnotami, zanadto się stroiła. Ja przebolałam stratę niektórych kosztowności, ale nie mogłam dozwolić, aby i kto inny na tem cierpiał, więc...

— A gdzież się teraz panna Brown znajduje?

— U swojej ciotki pani Rogers.

— Czy pani zna tę osobę?

— O, wcale nie.

Nastała mała przerwa w rozmowie, poczem Stuart niespodzianie zapytał:

— Czy pani ma pismo panny Brown?

— O, tak, tak — odpowiedziała Laura nieco zakłopotana — mam zapewne gdzieś schowane jej listy.

— Może mi pani raczy dać bodaj mały skrawek rękopisu panny Brown?

— Owszem, chętnie, ale muszę dopiero poszukać, a w tej chwili nawet nie pamiętam, gdzie te listy schowałam.

— Niema nic pilnego, jeżeli pani pozwoli, zgłoszę się po nie za dni kilka.

— Przyjmę pana z całą przyjemnością.

Podniósł się, by odejść, w tem wszedł służący z oznajmieniem, że przybyła panna Brown.

— Powiedz, że mnie w domu niema — rzekła Laura, ale zanim służący się oddalił, już panna Brown próg przestąpiła.

— Nie czekałam, co mi powie służący i wchodzę, jak za dawnych czasów — powiedziała z całą swobodą. — A! pan Stuart! bardzo się cieszę, że pana widzę. Czy może przeszkadzam?

— Wcale nie, bo właśnie chciałem się z panną Laurą pożegnać.

Ukłonił się uprzejmie i wyszedł. Już na schodach spostrzegł, że zgubił rękawiczkę, więc wraca i słyszy mimowoli taką rozmowę:

— Czego pani chce?

— Tylko tysiąc dolarów — odezwał się głos panny Brown.

— Co? jeszcze pani chcesz pieniędzy? Kiedyż się to skończy?

Stuart podniósł rękawiczkę, pod drzwiami w korytarzu leżącą, nie słuchał dłużej, uśmiechnął się i szepnął: „O, ty piękna czarownico! Nie uda ci się wywieść w pole Stuarta!"

XVI.

SENNOR CASTRO.

Polecona przez nauczycielkę śpiewu, umieściła się Leonora u jej przyjaciółki pani Horne. Była to kobieta dobrze ułożona, nawet do pewnego stopnia z wykwintnemi formami towarzyskiemi, co dla Leonory bardzo było pożądane i miłe. Jedno tylko zrażać mogło do niej a mianowicie, iż zajmowała się kabalarstwem i wróżyła, ale tylko osobom z najlepszego towarzystwa.

Leonora miała tam dwa pokoiki i tę wielką wygodę, że przechodziła przez dziedziniec do mieszkania swej nauczycielki, nie potrzebując pokazywać się na ulicy. Oba domy, choć też na innych ulicach, stykały się ze sobą dziedzińcami.

Za namową panny Harris sposobiła się Leonora na scenę. Śpiewaczka wiedziała dobrze, jaką będzie miała korzyść jeżeli osobę tak posławną i piękną na scenę wprowadzi. Zyski będą i od uczennicy i od dyrektora teatru. Leonora zgodziła się na to i z prawdziwem zamiłowaniem poświęcała się sztuce.

Przez kilka tygodni zażyw[ała] zupełnego spokoju, oddzielona od świata. Czuła się zdrowszą, niekiedy nawet zupełnie uspokojoną, aż pewnego razu zapragnęła nauczycielka wziąć ją z sobą do teatru. Leonora opierała się temu, lękała się, aby jej nie poznano.

Panna Harris nastawała bardzo, bo to był występ znakomitej śpiewaczki, a więc dla Leonory korzyść wielka. Z pewniała też, że będą miały taką zaciszną lożę, w której nikt ich nie zobaczy, prócz dyrektora teatru. I stało się wreszcie, że poszły na przedstawienie.

Mimo, że nikt ich nie widział z publiczności, naprzeciwko siedział w swej loży nietylko sam dyrektor, ale dwaj znajomi panowie i wszyscy trzej nie spuszczali Leonory z oka.

— Kto to tam naprzeciwko? — zapytał dyrektora teatru jeden z jego gości.

— To dawna śpiewaczka, a obecnie nauczycielka śpiewu Harris ze swą uczennicą. Ma to być wielki talent.

— Tak? A gdzież mieszka?

— Co tego, to już nie wiem.

— Szkoda! Gdybym miał jej adres, mógłbym jej pomódz do kształcenia się, a kiedyś wyszukał dla niej znakomite angagement. Może pan sobie teraz przypomni, gdzie mieszka?

Ależ upewniam, że nie wiem — odpowiedział dyrektor cokolwiek niechętnie.

Z pras... niekiedy do swej loży bywalców teatralnych, ale nietylko nie ułatwiał im stosunków z personalem teatralnym, lecz nawet ściśle nad tem czuwał, aby jego teatr był tylko artystyczną instytucją.

Stropiony odmową dyrektora czyhał natrętny ciekawiec na swoje vis à vis i skoro tylko kurtyna zapadła, już dotarł w pobliże Leonory i krok w krok szedł za nią. Panna Harris dostrzegła tę pogoń i dla tego nie odprowadziła Leonory pod dom, gdzie było jej mieszkanie, jeno zatrzymała się przed własnym. Ścigający dowiedział się zatem o mieszkaniu nauczycielki, a nie uczennicy.

Tak był zajęty pościgiem, że nie spostrzegł, jak za nim ukradkiem czyhało dwóch młodych ludzi i dopiero wtedy się zatrzymali, gdy stanął u bramy swego mieszkania. Ci dwaj nie znali się, idąc nie bo rzeszli się każdy swoją drogą, nie witając się, ani żegnając. A jednak łączył ich wspólny cel: ... ślad ... Bradmardina, nie wiedząc o tem, każdy z innego powodu. Byli to: Jocellyn i Francis Ferrers.

Przedstawienie w teatrze nie sprawiło jej przyjemności.

Z obawy, aby jej kto ze znajomych nie zobaczył, nie mogła ani słuchać spokojnie, ani patrzeć na scenę. Pościg nieznajomego, który aż do mieszkania ją śledził, jeszcze bardziej podniecił zaniepokojenie. Nie miała chęci do snu; siedziała przy kominku i myślała o przyszłości, to znowu rozpamiętywała ponurą przeszłość. Dokładała do ognia drewienko po drewienku, aż dotarła do dna koszyka i tu zobaczyła niedodartą gazetę. Machinalnie wzięła ją w rękę i wyczytała: „Ucieczka w dniu ślubu. Zamordowanie pana młodego przez żonę".

Struchlała. Spogląda w zadrukowany papier, czyta, oczom nie wierzy; może to sen, złudzenie, przywidzenie. Ona posądzona o zamordowanie Arteveldta! Arteveldt zamordowany! Od owej weselnej biesiady nie czytała dzienników, nie stykała się z ludźmi, nie wiedziała nic zgoła, co się tam stało potem, gdy odeszła.

Teraz czyta szerokie opisy mordu i dowiaduje się, że ją o mord posądzają, że ją ścigają, że wyznaczono nagrodę za ujęcie zbrodniarki.

Uciekała, kryła się, ale przed mężem, przed znajomymi, kryła się też dlatego, aby dochować przysięgi umierającej matce, która jeszcze ostatnie tchnienia wydając, lękała się o dziecko swoje. Lękała się, aby jej nie odkrył chciwy miljonowego spadku Bradmardine i życia nie pozbawił, więc zażądała przysięgi, że Leonora nie odsłoni przed nikim tajemnic rodzinnych i zachowa przybrane nazwisko.

Unikała ludzi, policji, bo jej się zdawało, że śledzą, szukają jej z ramienia prześladowcy, o którym od matki słyszała.

Teraz posądzona o tak straszną zbrodnię! Nie! to sen, złudzenie! I znowu podnosi gazetę i znowu czyta i krew się jej ścina, przed oczyma ciemno, traci siły, pada zemdlona. Kilka godzin przeżyła jakby w letargu. Zbudziła się zaczęła skupiać energję, myśleć nad tem, co teraz począć? Iść śmiało do policji, wykazać swoją niewinność — to byłoby najlepiej. Ale przysięga złożona umierającej matce! A czy jej uwierzą? Jakże udowodni, że jest niewinną? Nie, lepiej uciekać, ukryć się daleko!

Powziąwszy takie postanowienie, chciała zwierzyć się ze wszystkiem pannie Harris i wyczekiwała niecierpliwie końca nocy, bezsennie spędzonej. Nadeszła godzina poranna, w której panna Harris zwykle na lekcję przybywała. Dziś nie przyszła. Leonora niecierpliwi się, wyczekuje.

Śpiewaczka spóźniła się, bo miała niezwykłego gościa.

Był to mężczyzna okazały, elegancki, z wejrzeniem przenikliwem, ale bardzo inteligentnem. Przedstawił się, jako Sennor Castro z Kuby.

Mówił, że objął dyrekcję teatru w Hawannie, że go chce wspaniale zorganizować, że w tym celu przybywa tu, aby wyszukać najlepsze siły sceniczne.

— Oczywiście — mówił Sennor Castro — że nie tylko zdolności artystycznych, ale i odpowiedniej powierzchowności domagać się muszę od kandydatek do sceny. Osoba piękna, okazale zbudowana, mająca wiele wdzięku i dystynkcji, mogłaby liczyć na warunki bardzo korzystne. Stosunki pani, sława jej szkoły, pozwalają mi się domyślać, że mógłbym znaleźć wiele pomocy u pani w angażowaniu personalu scenicznego. Oczywiście, że gotów jestem złożyć sowitą prowizję.

Panna Harris zadowolona była z tej propozycji, obliczając korzyści. Sennor Castro zapłaci, uczennica niezawodnie też będzie wdzięczną; ale stracić za to uczennicę! Ta myśl zniewoliła ją do namysłu.

— Pomyślę nad tem, rozważę, rozpatrzę się w uczennicach, pomówię z niemi, a wieczorem dam panu odpowiedź.

Po odejściu Kubańczyka pospieszyła do Leonory i powiedziała o wszystkiem. Była pewną, że Leonora chyba tylko z wielką trudnością dałaby się nakłonić do przyjęcia engagement, więc zdziwiła się niezmiernie, gdy odrazu skłoniła się do tego i to z widocznem zadowoleniem.

Oczywiście, że Leonorze spadła ta propozycja jak z nieba, skoro postanowiła czemprędzej opuścić Chicago, ale pannie Harris żal było jakoś dla jednorazowej prowizji postradać uczennicę, za którą później sowitego wynagrodzenia spodziewać się mogła od każdego dyrektora teatru. To też wieczorem, gdy przyszedł sennor Castro, zbywać go zaczęła, wymawiała się tem i owem. Wiedy Kubańczyk powiedział, że zaangażuje nietylko uczennicę ale i nauczycielkę.

— Byłoby to dla mnie prawdziwem szczęściem, gdyby pani przyjęła w moim teatrze kierunek naczelny w szkole śpiewu opiekę nad całą wokalną częścią teatru. Honoraryum gotów jestem ofiarować stanowczo większe, niż te dochody, jakie pani ma ze szkoły.

To przekonało pannę Harris.

Ugodę zawarto, podpisano. Sennor Castro podał ten warunek, aby obie panie zaraz naajutrz przeniosły się do jego siostry, gdzie zbiorą się wszystkie zaangażowane osoby i razem wyjadą.

XVII.

TRUCIZNA.

Neil Stuart zaprosił Duranda do swego mieszkania na rozmowę w sprawie bardzo poważnej. Nie zdziwił się Durand zaproszeniem, bo go na to Stuart przygotował, widząc się z nim ostatnim razem.

— Zawód mój nastręcza mi tysiączne sposobności postrzegania tego, czego nie widzą inni, niech więc pana nie dziwi, że odkrywam coś takiego, co się panu wydaje niemożliwem wyda — mówił Stuart.

Durand z niepokojem wysłuchał tego wstępu i nie mógł nawet niepokoju ukryć.

— Niechże pan słucha spokojnie, po męsku. Jeszcze niema nieszczęścia i uniknie go pan z pewnością, posłuchawszy mej rady.

— Ależ mnie to przeraża! — rzekł drżącym głosem Durand.

— Powtarzam panu, że niema jeszcze żadnego nieszczęścia i właśnie po to pana zaprosiłem do siebie, abyśmy się swobodnie naradzić mogli, jak go nadal uniknąć. Czy pan mi ufa?

— Najzupełniej.

— A więc proszę z całą ufnością wysłuchać mnie i z całą szczerością udzielić mi odpowiedzi. Odkąd to panna Brown wyprowadziła się z domu państwa?

Panna Brown? Czyżby ona coś złego?

— A eż spokojnie. Kiedyż panna Brown opuściła swą towarzyszkę?

— Jakoś przed trzema miesiącami, na kilka dni przed wyjazdem Laury do New Yorku.

— Jak długo panna Laura w New Jorku przebywała?

— Prawie przez dwa miesiące.

— A odkąd to pańska żona choruje.

— Jakoś na tydzień przed powrotem Laury zaziębiła się bardzo i od owego czasu wciąż zapada zdrowiu.

— Radzę panu wywieść stąd żonę natychmiast.

— A to dlaczego?

— Bo wśród tego otoczenia, w którem się znajduje i dwóch miesięcy nie dożyje.

— Co pan mówi? co to wszystko znaczy? — zawołał Durand ze zdziwieniem i wpatrzył się bystro w Stuarta.

— To znaczy, że żona pańska zażywa truciznę i na powolne zatrucie umrze.

— Panie! to wprost niemożliwe, pan się myli, to przywidzenie!

— Nie, panie Durand, nie mylę się. Weź pan ten flakonik i daj zbadać chemikowi płyn w nim zawarty, a potem wezwij pan rady lekarskiej.

— Skąd pan wziąłeś ten flakonik.

— Ze stolika, z pokoju pańskiej żony, właśnie wtedy, gdy ją na życzenie pańskie odwiedziłem.

— To jakaś straszna zagadka.

— Nie dla mnie.

— Więc to trucizna?

— Tak panie, trucizna ostra, wprost zabójcza...

— Jakże pan wie o tem?

— A toć przecież wziąwszy flakon, dałem płyn zbadać, rozebrać chemicznie. Czyż możesz pan przypuścić, abym na własny domysł pana przerażał?

— A skąd to panu wpadło na myśl, podejrzywać truciznę w pokoju mojej żony?

— Ależ to rzecz bardzo prosta. Miałem już kilka wypadków takiego powolnego zatrucia osobz, której pozbyć się chciano, bez rozgłosu, bez ściągnięcia na siebie podejrzenia. Owe osoby chorowały tak zupełnie, jak pańska żona cierpiały wśród takich samych objawów patologicznych.

— Któż się tu dopuszcza tej zbrodni.

— O tem dowie się pan cokolwiek później; tymczasem proszę tylko mnie zostawić tego zbrodniarza.

— Boże! Boże! jakie to straszne! — zawołał Durand, załamując ręce.

(Ciąg dalszy nastąpi).



B. car Bułgarji Ferdynand na wygnaniu. Pogłoski o jego powrocie do Sofji wywołały ostatnio wielki niepokój na Bałkanach.

Powrót Ferdynanda bułgarskiego.

W związku ze zgodą rządu Cankowa na powrót do Sofji ks. Cyryla, b. następcy tronu, a starszego brata króla Borysa — pojawiły się wieści, narazie nieprawdziwe o tem, że i zdetronizowany król Ferdynand też wrócił już do dawnej swej stolicy.

Jak wiadomo, Ferdynand z rodu Koburg wstąpił na tron po abdykacji pierwszego monarchy nowoczesnej Bułgarji, Aleksandra Battenberga, co się odbyło na tle intryg i współzawodnictwa Rosji z jednej strony a Austro-Węgier i Niemiec z drugiej

Punktem szczytowym jego polityki było utworzenie sojuszu Bułgarji, Serbji, Czarnogóry i Grecji i zwycięskiej wojny bałkańskiej (pierwszej) przeciw Turcji. Wynik tej wojny jednak stał się przyczyną klęsk Bułgarji, gdyż spór z Serbją o zdobyte obszary sprowadził drugą wojnę bałkańską, w której Bułgarję zgniotły Serbja i Rumunja, a wynikła stąd chęć do odwetu doprowadziła ją do nieszczęśliwego sojuszu z Niemcami, za który dziś pokutuje zarówno Ferdynand, jak i cała Bułgarja.

A twórcą tego sojuszu był przedewszystkiem król.

To też klęskę na froncie salonickim w jesieni 1918 r. odczuł na sobie przedewszystkiem twórca sojuszu — król, zmuszony wraz ze swym premjerem Radosławowem uciekać do swych opiekunów, Niemiec. Ale w następstwie ucierpiała także Bułgarja, tracąc nietylko wszystkie zdobycze dotychczasowe, ale także części rdzennej Bułgarji, do których nikt przedtem nie rościł pretensji.

Po ucieczce Ferdynanda wstąpił na tron syn jego Borys, a władzę objął na krótko demokratyczny rząd Malinowa, poczem w 1919 r. nastąpiła dyktatura chłopów ze Stambolińskim na czele, trwająca do czerwca 1923 r. Rządy Stambolińskigo zaznaczyły się bezwzględnem schlebianiem warstwie chłopów a po części też komunistom i uciskiem wszystkich innych warstw społecznych i stronnictw politycznych, przy znacznej jednocześnie ustępliwości, przynajmniej pozornej, wobec zwycięskich państw ościennych.

Z obu tych powodów dążyły stronnictwa narodowe do obalenia rządu chłopów i dokonały przewrotu 9 czerwca 1923 r.

Od tej chwili zaczęły państwa sąsiadujące z Bułgarją, zwłaszcza Jugosławja i Rumunja pilnie śledzić dalsze kroki rządu bułgarskiego, podejrzewając go o dążenie do odwetu. Ostatnia mowa premjera Cankowa w sobranju podkreślająca, że Macedonja przyłączona do Serbji jest zamieszkana przez Bułgarów i wymaga uwzględnienia ich potrzeb narodowo-kulturalnych, a jednocześnie zawarte w tej mowie wyrażenie potrzeby większego wojska dla Bułgarji, już niedwuznacznie zaniepokoiły sąsiadów, a zwłaszcza Jugosławję, która też ostro zaprotestowała.

Nic dziwnego więc, że pogłoski o powrocie do Sofji byłego króla Ferdynanda, znanego ze sprytu, a jednocześnie życzliwości dla Niemców, wśród których dotychczas przebywał, budzą obawę, że chodzi tu o zaskoczenie państw dokonanym już powrotem do kraju, co przypomina próby Habsburgów i Hohenzollernów, niepokojące Europę.



Z odrodzonej Turcji: Pierwsza kobieta minister *Halide Edib Hanum*, która otrzymała tekę oświaty.



„Gwałtu, co się dzieje“ — w teatrze im J. Słowackiego: Scena zbiorowa aktu III. p. Dobiesław pojmany przez kobiecych kosynierów i sąd burmistrzowski: pp. Klońska, Zalewska, Łęczycka. W oknie na piąterku pp. K delkowski i Miarczyński, jako męskie kumoszki.

Co słychać w Zakopanem?

Sezon zimowy w Zakopanem jest bardzo ożywiony ludzi i — śniegu moc. Oczywista na tapecie są w pierwszym rzędzie narty. W roku obecnym ogarnął wszystkich istny szał narciarstwa, Nartują starzy i młodzi, mężczyźni i niewiasty, chudeusze i paskarze. Wszyscy spieszą w pokryte śniegiem góry i jazda potem na nartach wśród mroźnego i zdrowego powietrza. Szampańska rozkosz jazda po tej skrzącej, skrzypiącej powłoce.

Nasz specjalny wysłannik p. *T. B — ęcki*, który również udał się do Zakopanego na narciarskie rozkosze dokonał dla „Nowości Illustrowanych“ kilka pięknych zdjęć, z których dwa tu podajemy.





Co słychać w Zakopanem: Sport narciarski kwitnie w całej pełni. Doświadczeni narciarze zadziwiają swemi ewolucjami licznych widzów, a początkujący zwolennicy tego sportu czynią karkołomne wysiłki by utrzymać równowagę.



Śp. Zofja Strzałkowska: Znakomita działaczka na polu pedagogji, zmarła w ubiegłym tygodniu we Lwowie.

†

Ś. p. Zofja Strzałkowska

W dniu 29 grudnia 1923 r. zmarła we Lwowie ś. p. Zofja Strzałkowska, przełożona zakładów naukowo wychowawczych, gorąca Obywatelka Polka i niezapomniana wychowawczyni szeregu pokoleń. Zeszła ze świata ta, co przez lat dziesiątki kierowała instytucyą naukową dla dziewcząt, niosąc światło wiedzy i wielkie idee w szeregi uczennic.

Ś. p. Zofja Strzałkowska była osobistością wybitną, nawet wyjątkową. Znamienowały ją wielka dusza i serce szerokie, potęga charakteru i niespożyta energja. Szła ku wytkniętemu celowi życia śmiało i z rozmachem, mimo trudu i przeszkody szła silna naprzód, jednając sobie zawsze serca wszystkie, z którymi w pracy Swej się spotykała. Celem Jej życia to wychowanie młodego pokolenia dziewcząt, to przygotowanie mądrych obywatelek dla wolnej Polski, dziełem — to olbrzymi na nowoczesną modę urządzony zakład, dający całokształt wychowania od pierwszych zaczątków przez szereg stopni pośrednich aż do pewnego wykończenia i zamknięcia. Pomysł to bardzo racyonalny. Chodzi tu bowiem a przeprowadzenie idei ciągłości pracy wychowawczej, pracy naprawdę twórczej i celowej, pozwalającej do pewnego stopnia przynajmniej uchronić od przypadkowości, ułatwiającej zarazem poznanie dziecka i umożliwiającej wprowadzenie metod zastosowanych do indywidualnych jego potrzeb.

Nie odrazu jednak powstało to dzieło. Trza było na to lat całych walki i mozolnego trudu zwłaszcza, że niecałe jeszcze społeczeństwo dzięki błędom i brakom naszego rozwoju, zrozumiało doniosłość problemu wychowania i tę konieczność iż wziąść musi na swe barki odpowiedzialność za dolę przyszłych pokoleń, za ich uzdolnienie życiowe. Trudu tej walki, propagandy nowych haseł wychowawczych podjęła się ś. p. Strzałkowska.

Już w r. 1893 przybyła do Lwowa z zamiarem zorganizowania kursów dla kobiet, któreby im umożliwiły wstęp na uniwersytet, mający lada rok otworzyć swe podwoje także kobietom. Mimo uprzedzeń władz szkolnych zdołała zorganizować niebawem „Wyższe kursa naukowe dla kobiet“ oraz przygotowawczy dwuletni kurs gimnazyalny. Pracy tej podjęła się w stosownej chwili, jakby wyczuła palącą potrzebę społeczeństwa. Nie poprzestała jednak na tem. Przystąpiła do obmyślenia planu pełnej szkoły średniej dla dziewcząt, który doczekał się realizacji. Dnia 1 września 1898 r. zatwierdziła Rada Szkolna plan szkoły i przyjęła jej otwarcie do zatwierdzającej wiadomości. Tak więc powstała we Lwowie pierwsza polska szkoła średnia dla dziewcząt z programem gimnazyalnym, która począwszy od r. 1905/6 przekształcała się stopniowo na gimnazjum ośmioklasowe z prawem publiczności. Obok tego istnieje w zakładzie już od r. 1896 seminarjum nauczycielskie, wraz z czteroletnim kursem szkoły powszechnej, będącej zarazem szkołą ćwiczeń dla seminarjium, od roku zaś 1912/13 także ogródek dziecięcy i wzorowy internat.

Ś. p. Zofja Strzałkowska nosiła się z myślą dalszego jeszcze rozszerzenia zakładu, a to przez założenie szkoły gospodarstwa. Nie wszystkie Jej projekty zostały urzeczywistnione. Ale to, co zrobiono — wyniki Jej pracy — dają same chlubne świadectwo Jej zasłudze. Odeszła na wieki, zostawiwszy na ziemi obfity siew Swej działalności i zasłużywszy robie bez wątpienia dziełem Swego życia na wdzięczną pamięć u potomnych!

Pogrzeb Jej, który odbył się w dniu Nowego Roku z budynku zakładu przy ul. Zielonej, stał się prawdziwą manifestacją żałobną Lwowa. U wrót zakłady przemówili nad trumną dyr. R. Moskwa imieniem grona nauczycielskiego, dalej prof. A. Ujeski imieniem Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych, oraz seminarzystka Wissowska, która złożyła ślubowanie wierności ideałom, krzewionym przez niezapomnianą Mistrzynię. Ruszył następnie pochód żałobny ulicami miasta, wzdłuż których płonęły kirem okryte latarnie, na cmentarz Łyczakowski. Nad otwartą mogiłą pożegnali jeszcze zwłoki Dr. A. Wyczółkoska oraz szereg uczennic, wyrażając ból i żal z powodu niepowetowanej straty, wywołanej przez śmierć wielkiej Obywatelki.

Cześć Jej świetlanej pamięci! *R. S.*



Śp. Zofja Strzałkowska: Dyr. Moskwa żegna przemówieniem zwłoki przed portykiem zakładu.

Z TEATRU.

„Gwałtu co się dzieje“ Al. Fredry.

Bardzo odpowiednią tytułem dla dzisiejszej naszej sytuacji wystawił teatr miejski im. Słowackiego tę kapitalną farsę Fredrowską o niezwykłej rewolucji w fantastycznym Osieku, gdzie białogłowy zajęły rolę mężczyzn, oddając tym ostatnim troskę o szydło i kądziel wraz z czepcem i kiecką. Ograna przez sceny ludowe i amatorskie a zawsze żywa i pełna humoru krotochwila otrzymała na scenie krakowskiej świeży rumieniec dzięki pomysłowej inscenizacji reż. Piekarskiego i barwnej dekoracji p. Andrzeja Pronaszki w którym pp. Klońska, Zalewska, Łęczycka i Mazarekówna oraz najmłodsze ich koleżanki w hajdawerkach oraz panowie Kułakowski, Miarczyński i Kawczyński „po babsku“ prześmiesznie się poruszali i świetnie grali i bawili widownię. *sn.*



Najtańsze mieszkanie na świecie: Główna ulica dzielnicy Fuggerowskiej w Augsburgu.



Jak pracują dziennikarze amerykańscy: John B. Gruel, redaktor dziennika nowojorskiego „Snu“ jadąc pociągiem odbiera dla swego dziennika wiadomości za pośrednictwem radyotelefonu.

Najtańsze mieszkania na świecie.

W obecnych powojennych czasach kwestja mieszkaniowa jest jedną z najdotkliwszych bolączek. Biedni kamienicznicy skarżą się i płaczą, że muszą chodzić w butach podartych i żywić się surowemi ziemniakami, gdyż zamiast mieć dochody ze swych domów jeszcze muszą do utrzymania ich dopłacać. A lokatorzy? Szczęśliwi są ci, którzy mają mieszkanie dla samych siebie, nie potrzebując się gnieździć wspólnie z narzuconymi przez los i powszechną mizerję mieszkaniową ludźmi obcemi, nieraz z niesympatycznymi ,wrogimi i dokuczliwymi, sublokatorami, którzy we współżyciu pod jednym dachem stają się najcięższymi wrogami.

A dziś ta mizerja mieszkaniowa panoszy się na świecie całym. I u nas, i w Niemczech i we Francji, skąd pisma paryskie co pewien czas przynoszą obrazki baraków lub namiotów, jakie stawiają sobie na placach publicznych paryżanie bezdomni, lecz zawsze pełni humoru.

W tych stosunkach europejskich istnieje jednak jeden wyjątek, oaza stanowiąca raj mieszkaniowy na ziemi. To dzielnica Fuggerowska w Augsburgu w Bawarji. W r. 1513 słynny kupiec augsburski, protoplasta naszego warszawskiego rodu Fukierów— Jakób Fuger utworzył wraz z braćmi swymi fundację mieszkaniową. Założył on w swym rodzinnem mieście Augsburgu całą dzielnicę z kilku ulic a z 53 domów złożoną, t. zw, „Miasto ubogich“ albo „Fuggiernię“ (Fuggerei). W każdym z domów tych mieści się po parę lub kilka mieszkań 3 pokojowych z kuchnią, wynajmowanych w myśl wskazań fundatorów uczciwym niezamożnym ludziom dożywotnie, za opłatą *4 marek 50 fenigów* (czyli według obecnie „złotej marki“ — za 1 dolara) rocznie.

Poza tą opłatą szczęśliwi lokatorzy nie ponoszą żadnych więcej świadczeń — tylko jeszcze zobowiązani są odmawiać codziennie jedno „Ojcze nasz“, jedno „Zdrowaś“ i „Wierzę“ za duszę zmarłych fundatorów.

Czyż to nie jest istotny raj mieszkaniowy?

Jak pracują dziennikarze amerykańscy.

Prasa amerykańska pod względem inicjatywy, energji i zdolności dociekania do najbardziej niedostępnych miejsc, stoi najwyżej na świecie. Ale dziennikarza amerykańskiego znamionuje jeszcze jedna cecha — niezmordowana pracowitość i umiejętność posługiwania się najnowszemi zdobyczami techniki.

— Oto na załączonej ilustracji, widzimy dziennikarza amerykańskiego, który nawet w wagonie nie przerywa swej pracy. Połączony telefonem bez drutu ze swą redakcją odbiera on w drodze instrukcje i dyktuje jednocześnie zdobyte informacje albo treść uzyskanego wywiadu. Byle tylko uprzedzić konkurentów, byle być pierwszym, który najnowsze wiadomości poda publiczności. To jest dziennikarstwo amerykańskie. Czyż nasze może się choćby z niem porównać? Nie ma ono potemu nawet technicznej możliwości, skoro na zwykły telefon ze stolicą trzeba oczekiwać godzinami, a przesyłki, listy i zdjęcia fotograficzne — przy obecnych zaspach śnieżnych i przerwaniu komunikacji kolejowej — po pięć dni jadą z Warszawy do Krakowa, a z zagranicy jadą — tygodniami.

Dział Grafologiczny

pod kierunkiem Inst. pismoznawstwa i psychologji stosowanej prof. **Henryka Gralskiego,** Kraków, ul. Batorego 25.

Pokaż jak piszesz — powiem Ci jak się sprawujesz.

I. Bon grafologiczny.

Imię: ....

Dla otrzymania oceny grafologicznej swego charakteru należy na bonie wypisać swe imię. — Nie więcej tylko swe własne imię. Następnie należy bon wyciąć i załączywszy dwa znaczki pocztowe na list, — przesłać do redakcji. Odpowiedź zamieszczona będzie w „Nowościach“.

„Nowości Ill.“ z dnia 12 stycznia 1924 roku.

1) **Mieczysław** jest typem charakteru osobliwego i dziwacznego równocześnie. Jest to umysł logiczny i twórczy, ale rozproszony i fantastyczny; uczuciowość skłonna jest do porywczości, już ze względu na słaby stan nerwów, istnieje jednak nie codzienna muzykalność i uzdolnienie literackie. Gorzej przedstawia się strona woli, albowiem jest to charakter uparty i porywczy, ale zato też konsekwentny i jednolity.

2) **Ludmiła** wykazuje znane cechy niewiasty przeciętnej, gospodarczej, świadomej swych celów i swego przeznaczenia, ale też bezmyślnej, powierzchownej a oprócz tego jeszcze bardzo naiwnej. Natomiast można skonstatować dużo wrodzonych estetycznych popędów i wyraźnie się zarysowujący dobry słuch.

3) **Marja** wykazuje następujące cechy umysłu, uczucia i woli — (a na tych trzech elementach psychologicznych opiera się cała indywidualność człowieka!): Jest to umysł szeroki, dobrze pielęgnowany, o jasnym poglądzie na świat, o zdrowej realistyce dążności, uwydatnia się jednak silna skłonność do rozrzutności i do próżnego reprezentowania. Cechy serca są miękkie, natomiast kierunek chcenia jest często przesadny a przecież nie należycie uświadomiony. Konstatuję dalej zdolność językową i plastyczną.

4) **Tadeusz** jest charakterem pod wielu względami podejrzanym. Jest to natura pesymistyczna, zgryźliwa, dokuczliwa, umysł przenikliwy, ale także podejrzliwy i negatywny. Istnieje znaczna zdolność teoretyczna i dużo wrodzonej intuicji, ale prawdopodobnie niedomagania zdrowia i kłopoty codzienne oddziaływają niepomyślnie na całokształt tego ustroju psycho-fizycznego. Trzebaby jednak to wszystko grafometrycznie i zapomocą obfitszego materjału pisemnego stwierdzić.

5) **Janina** jest charakterem wybitnie egoistycznym, w sobie zamkniętym, ale więcej wskutek niepomyślnych wpływów otoczenia i zbiegu okoliczności, niż z przyczyn usposobienia uczuciowego, które wykazuje nawet skłonność do sentymentalizmu. Też i wola kroczy po niewłaściwych torach i często się załamuje, wskutek braku opanowania formalnego i wykształcenia solidnego. W każdym razie jest to typ charakteru wartościowego i twórczego, ale nieszczęśliwego.

Dalsze ekspertyzy w następnym numerze. Ważne są tylko bony ostatniego tygodnia. Osobny illustrowany artykuł o „Nauce i sztuce grafologicznej“ rozpoczniemy wkrótce.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Ignacy Winter Łódź.

Na list z 15. XII. donosimy, że reflektujemy wyłącznie na ilustrowane artykuły z dziedziny kinematografji, które są traktowane jako płatny inserat w części redakcyjnej a nie jako artykuły redakcji. Podobną umowę zawieramy z kinoteatrami i wytwórniami filmowemi w Warszawie i Krakowie.



Księżyc i ziemia: księżyc — najpiękniejsza gwiazda nocy — widziana z ziemi.



Księżyc i ziemia: Ziemia widziana z księżyca jako najwspanialsza gwiazda na księżycowym nieboskłonie.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. red.: Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane“ pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina).